





KARIN BOYE

# KALLOKAINA

 Driada

Tytuł oryginału  
Kallocaïn

Copyright © for this edition by Driada 2018  
Copyright © for the Polish translation by Przemysław Pożar 2017  
Copyright © for the cover art by Andrzej Bobrowski 2014

Tłumaczenie z języka szwedzkiego  
Przemysław Pożar

Grafika okładki Pola Miłości XXL  
Andrzej Bobrowski

Projekt okładki  
Dawid Jujka

Korekta  
Ewa Wozowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów książki  
– z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na  
podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-945990-8-9

Wydawnictwo Driada  
ul. Ogrodowa 6  
62-030 Luboń  
[www.driada.pl](http://www.driada.pl)  
[ms@driada.pl](mailto:ms@driada.pl)

Książka, do napisania której właśnie zasiadam, z pewnością wyda się wielu osobom pozbawiona zamysłu – jeśli w ogóle ośmielę się przypuścić, że *wiele* osób zdoła ją przeczytać – ponieważ i ja, podejmujący się tego przedsięwzięcia zupełnie z własnej woli, bez niczyich nakazów, nie wiem tak naprawdę, jaki jest w tym zamysł. Chcę i muszę, to wszystko. Coraz bezwzględniej wymaga się, by czyny i słowa były celowe i zaplanowane, aby najlepiej ani jedno słowo nie zostało wymówione na chybił trafił – jedynie autor tej książki, powodowany wewnętrznym przymusem, obrał drogę na przekór, ku bezcelowości. Albowiem, mimo iż lata, które spędziłem tu w charakterze więźnia oraz chemika – musiało ich minąć już ponad dwadzieścia, jak mniemam – były dostatecznie wypełnione pracą i zabieganiem, to jednak coś wewnątrz mnie uważało ów wysiłek za niewystarczający, kierując mną i sprawując pieczę nad następną pracą, której sam w żaden sposób nie mogłem nadzorować, a w którą mimo to byłem dogłębnie i niemalże dotkliwie zaangażowany. Praca ta zostanie zakończona, kiedy spiszę już moją książkę. Zdając sobie więc sprawę z tego, jak irracjonalna musi wydawać się moja pisanina wobec racjonalnego i praktycznego rozumowania, piszę mimo to.

Możliwe, że nie odważyłbym się na to wcześniej. Możliwe nawet, iż właśnie niewoli zawdzięczam tę nieroztropność. Obecne warunki tylko nieznacznie różnią się od tych, w których dane było mi żyć jako wolny człowiek. Posiłki oka-

zały się nieznacznie gorsze – można było przywyknąć. Prycza okazała się tylko trochę twardsza niż moje domowe posłanie w Chemiomieście nr 4 – dało się przywyknąć. Rzadziej zdarzało mi się wychodzić na świeże powietrze – do tego także przywykłem. Najgorsze było rozstanie z moją żoną i dziećmi, szczególnie że nie wiedziałem, a i teraz nie wiem, nic o ich losie; dlatego pierwsze lata w odosobnieniu przepełnione były obawą i lękiem. Lecz z biegiem czasu spływał na mnie spokój, zacząłem nawet odczuwać coraz większe zadowolenie z mojego położenia. Tu nie musiałem niczego się obawiać. Nie miałem podwładnych ani szefów – wyjąwszy strażników, którzy rzadko przeszkadzali mi w pracy i dbali jedynie o to, bym przestrzegał reguł. Nie miałem też sprzymierzeńców czy konkurentów. Uczni, z którymi kontaktowano mnie niekiedy, bym mógł nadażyć za nowymi odkryciami w dziedzinie chemii, traktowali mnie uprzejmie i rzeczowo, choć nieco lekceważąco z uwagi na moje obce pochodzenie. Wiedziałem, że nikt nie patrzył na mnie zawistnym okiem. Krótko mówiąc: w pewnym sensie czułem się wolniejszy niż na wolności. Jednak wraz ze spokojem rosła we mnie osobiwa praca nad przeszłością, przez co teraz nie zaznam już spokoju, póki nie spiszę moich wspomnień z wypełnionych treści lat. Możliwość pisania dano mi przez wzgląd na moją naukową posadę, kontrola zaś przeprowadzona zostanie dopiero w chwili, gdy oddam gotową pracę. Mogę więc pozwolić sobie na tę jedyną przyjemność, nawet jeśli byłaby to ostatnia.

W momencie, w którym rozpoczyna się moja opowieść, zbliżałem się do czterdziestki. Jeśli miałbym powiedzieć o sobie coś jeszcze, powinienem zapewne opisać wyobrażenie, które jawi mi się jako obraz życia. Niewiele jest bowiem rzeczy, które mówią o człowieku tyle, co jego obraz życia: czy postrzega je jako drogę, pole bitwy, rosnące drzewo albo wzburzone morze. Sam patrzyłem na życie oczami grzecznego ucznia i wyobrażałem je sobie jako schody, po których człowiek pę-

dzi stopień po stopniu, tak szybko jak tylko się da, z zadyszka i depczącymi po piętach rywalami. Choć właściwie nie miałem nigdy wielu rywali. Większość spośród moich towarzyszy pracy w laboratorium kierowała swoje aspiracje ku służbie militarnej, a pracę dzienną uważała za nudny, choć konieczny przerywnik w wieczornej warcie wojskowej. Sam nie przyznałbym przed żadnym z nich, że znacznie bardziej interesowała mnie chemia niż pełnienie służby, mimo iż nie byłem wcale kiepskim żołnierzem. W każdym razie gnałem moimi schodami w górę. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, ile stopni człowiek zostawia za sobą, nigdy też nie rozmyślałem nad skarbami, które mogłyby znajdować się na strychu. Być może mgliście wyobrażałem sobie, że życie to dom, na wzór naszych zwyczajnych miejskich budynków, z wnętrza których wychodziło się na powierzchnię, by na koniec wejść na taras na dachu, odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć powiew wiatru i światło dnia. Co miałyby wyrażać wiatr i światło dnia w mojej doczesnej wędrówce, tego nie potrafię ustalić. Pewne jest jednak, że każdy nowy szczebel wytyczały krótkie oficjalne komunikaty z góry – o zaliczonym egzaminie, zdanym teście, przeniesieniu na bardziej znaczące pole działalności. Miałem już za sobą wiele tego typu decydujących początków i końców, choć znów nie na tyle, by kolejny początek tracił na znaczeniu. Dlatego też odłożyłem słuchawkę lekko rozgorączkowany, kiedy dowiedziałem się, że nazajutrz mam się spodziewać mojego naczelnika inspekcji, co oznaczało, że dostałem również pozwolenie eksperymentowania na materiale ludzkim. Następnego dnia miała więc nastąpić próba ogniowa mojego dotychczas największego odkrycia.

Byłem tak uradowany, że w ciągu tych dziesięciu minut, jakie zostały do końca pracy, nie potrafiłem już zabrać się za nic nowego. Zamiast tego dopuściłem się drobnego oszustwa – zdaje się, że pierwszy raz w życiu – i jeszcze przed czasem, powoli i dyskretnie, zacząłem odstawiać aparaturę, zerkając

przez szklane ściany na obie strony, czy aby ktoś nie zwrócił na mnie uwagi. Gdy tylko dzwonek oznajmił koniec pracy, pognąłem przez długie laboratoryjne korytarze jako jeden z pierwszych w tłumie. W pośpiechu wzięłem prysznic, przebrałem się w uniform spoczynkowy, wbiegłem do windy paternoster i po kilku chwilach znalazłem się na ulicy. Ponieważ mieszkanie przydzielono nam w moim sektorze pracy, mieliśmy przepustki na pobyt na powierzchni w obrębie tego obszaru i cieszyłem się zawsze spacerem na świeżym powietrzu.

Kiedy przechodziłem obok stacji metra, przyszło mi na myśl, by poczekać na Lindę. Byłem bardzo wcześnie, na pewno nie zdążyła jeszcze wrócić z fabryki żywności oddalonej nieco ponad dwadzieścia minut metrem. Zaledwie pociąg zajechał, a już fala ludzi wylała się spod powierzchni, przetoczyła przez bramki, gdzie kontrolowano przepustki, a potem rozlała się po ulicach dokoła. Mając w tle puste tarasy, wszystkie te zwinięte grafitowe i trawiastozielone płachty brezentu, które w dziesięć minut mogły uczynić miasto niewidzialnym z powietrza, obserwowałem całe to kłębiące się mrowie zmierzających do swoich domostw współżołnierzy w uniformach spoczynkowych i naraz uderzyło mnie, że może wszyscy oni żyli tym samym co ja wyobrażeniem – wyobrażeniem o drodze wzwyż.

Myśl ta ujęła mnie. Wiedziałem, że kiedyś, w epoce cywilistycznej, ludzie garnęli się do pracy i wysiłku w nadziei na przestronniejsze mieszkania, bardziej wyszukane posiłki czy piękniejsze ubrania. Teraz nic takiego nie było potrzebne. Standardowe mieszkanie – jeden pokój dla osób stanu wolnego, dwa dla rodziny – wystarczało wszystkim, od szarych obywateli po tych najbardziej zasłużonych. Domowe jedzenie syciło generała tak samo jak szeregowca. Powszechny ubiór – jeden uniform do pracy, jeden na czas odpoczynku oraz jeden do służby policyjnej i wojskowej – był jednakowy dla kobiet i mężczyzn, wysoko i nisko postawionych, wyróżniał ich tylko stopień wojskowy. Przy czym nie był to wcale uniform bardziej



ozdobny u jednych niż u drugich. To, czego pożądało się przy wyższej dystynkcji, zawierało się jedynie w jej symbolice. Tak dalece uduchowiony jest każdy współżołnierz Państwa Świata, myślałem szczęśliwy, że to, co uznaje za najwyższą w życiu wartość, rzadko kiedy przyjmuje formę inną niż trzy czarne belki na rękawie – trzy czarne belki, które są dlań niczym gwarancja poszanowania dla samego siebie, jak i szacunku ze strony innych. Przyjemności materialnych można mieć wystarczająco wiele, a nawet zbyt wiele – właśnie dlatego podejrzewam, że tamte stare, kapitalistyczne, dwunastopokojowe apartamenty za czasów niemilitaryzowanych były niczym więcej niżli tylko symbolem – lecz owymi subtelnościami, które towarzyszą zdobywaniu stopni wojskowych, nie sposób się nasycić. Nikt nie może mieć na tyle uznania, czy to ze strony innych, czy wobec samego siebie, by nie łaknąć go więcej. Na tej kluczowej koncepcji uduchowienia, abstrakcji i nieziszczalności opiera się nasz porządek społeczny bezpiecznie i po wsze czasy.

Takie oto rozważania snulem, stojąc przy wyjściu z metra i przypatrując się jak w jakimś śnie wartownikowi, który przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż zwieńczonego drutem kolczastym muru dystryktowego. Przyjechały już cztery pociągi, tłum cztery razy wypływał na światło dzienne, gdy wreszcie przez bramkę przeszła i Linda. Pospieszyłem do niej i dalej szliśmy ramię w ramię.

Nie mogliśmy rzecz jasna rozmawiać ze względu na ćwiczenia floty powietrznej, które ani za dnia, ani nocą nie pozwalały na jakiegokolwiek rozmowy poza domem. Niemniej dostrzegła moją radosną minę i skinęła głową aprobująco, choć ze zwykłą sobie powagą. Dopiero gdy weszliśmy do środka budynku mieszkalnego i winda ruszyła w dół na nasz poziom, zapanowała względna cisza – huk metra, od którego drżały ściany, nie był na tyle silny, by zagłuszać słowa – a jednak z ostrożności zwlekaliśmy z wszystkimi rozmowami, póki nie

weszliśmy do mieszkania. Gdyby ktoś nakrył nas rozmawiających w windzie, w sposób oczywisty nasuwałoby się podejrzenie, iż dyskutujemy na tematy, które trzymamy w sekrecie przed dziećmi czy pomocą domową. Zdarzały się podobne przypadki, kiedy wrogowie państwa lub inni zbrodniarze wybierali właśnie windę na miejsce konspiracji; wybór oczywisty, jako że z przyczyn technicznych w windzie nie można było zamontować policyjnego oka czy policyjnego ucha, oraz dlatego, że dozorca miał zazwyczaj co innego do roboty niż bieganie po klatce schodowej i nasłuchiwanie. Milczeliśmy więc ostrożnie, póki nie przekroczyliśmy progu pokoju rodzinnego, gdzie tego tygodniowa opiekunka podała już kolację i czekała z dziećmi, które odebrała z piętra świetlicowego, znajdującego się w tym samym budynku. Sprawiała wrażenie porządnej i przyzwoitej, a nasze przyjacielskie powitanie nie było wywołane wyłącznie świadomością, że zobowiązana była, jak wszyscy pomocnicy domowi, złożyć na koniec tygodnia raport o rodzinie, podług reformy, która według powszechnego uznania przyczyniła się do poprawy nastroju w wielu domach. Przy naszym stole panowała atmosfera radości i zadowolenia, przede wszystkim dlatego, że był wśród nas nasz najstarszy syn Ossu. Przyjechał z wizytą z dziecięcego obozu szkoleniowego, ponieważ był to akurat wieczór odwiedzin.

– Mam coś miłego do powiedzenia – zwróciłem się do Lindy, gdy jedliśmy zupę. – Mój eksperyment zaszedł na tyle daleko, że będę mógł od jutra zacząć badania na ludzkim materiale pod nadzorem naczelnika inspekcji.

– Jak myślisz, kto nim będzie? – zapytała Linda.

Z pewnością nie dałem tego po sobie poznać, lecz wewnątrz wzdrygnąłem się na jej słowa. Być może były one całkiem niewinne. Cóż bardziej naturalnego niż pytanie żony o to, kto zostanie naczelnikiem męża! W rzeczy samej to od postawy naczelnika, bądź to ponad miarę złośliwej, bądź pełnej przychylności, zależało, jak długo trwać będzie okres prób-

ny. Zdarzało się nawet, że żądni uznania naczelnicy zawłaszczali sobie odkrycie podwładnego, czemu rzecz jasna niełatwo było się przeciwstawić. Nic więc dziwnego, że najbliżsi pytają, kto nim zostanie.

Wśluchiwałem się jednak w niuanse w jej głosie. Moim bezpośrednim przełożonym, a najprawdopodobniej także i przyszłym naczelnikiem inspekcji był Edo Rissen. Edo Rissen pracował wcześniej w tej samej fabryce żywności co Linda. Wiedziałem, że mieli ze sobą sporo styczności i z wielu drobnych sygnałów wnioskowałem, że wywarł on na mojej żonie pewne wrażenie.

Jej pytanie wzbudziło moją zazdrość i podejrzliwość. Jak intymny był właściwie związek pomiędzy nią a Rissenem? W dużej fabryce mogło często dochodzić do tego, że dwie osoby znajdowały się poza zasięgiem wzroku innych, chociażby w magazynach, gdzie baloty i skrzynie zasłaniały szklane ściany, i gdzie na domiar złego być może akurat nikt niczym się nie zajmował. Poza tym Linda miewała przecież swoją zmianę jako nocny stróż w fabryce. Równie dobrze w tym samym czasie mógł pełnić wartę Rissen. Wszystko było możliwe, nawet najgorsze – że to jego cały czas kochała, nie mnie.

W tamtym czasie rzadko zastanawiałem się nad sobą, nad tym, co myślałem i czułem, czy nad tym, co myśleli i czuli inni, o ile nie miało to dla mnie bezpośredniego, praktycznego znaczenia. Dopiero później, podczas moich samotnych chwil w więzieniu, rozważania te wróciły w postaci zagadek, zmuszając mnie do bezustannego dociekania. Teraz, po tak długim czasie wiem, że kiedy tak pełen zapału i nadziei liczyłem na „potwierdzenie” w sprawie Lindy i Rissena, nie chciałem tak naprawdę dowodu na to, że nic ich nie łączy. Chciałem mieć pewność, że ciągnie ją w inną stronę. Chciałem zyskać pewność, która zakończyłaby moje małżeństwo.

Lecz wówczas ze wzgardą odrzuciłbym podobną myśl. Odrzekłbym zapewne, że Linda odgrywa w moim życiu zbyt

ważną rolę. I taka była prawda, żadne rozmyślenia czy sugestie nie mogły tego zmienić. Z powodzeniem dorównywała swoim znaczeniem mojej karierze. W zupełnie niedorzeczny sposób trzymała mnie przy sobie wbrew mojej woli.

Można mówić o „miłości” jak o przestarzałym romantycznym pojęciu, lecz obawiam się, że ona wciąż istnieje i już od zarania zawiera w sobie element nadzwyczaj bolesny. Mężczyznę ciągnie do kobiety, kobietę do mężczyzny, lecz z każdym zbliżającym ich do siebie krokiem przepada jakaś część ich samych – następuje seria strat w miejscu wyczekiwanego zwycięstwa. Już moje pierwsze małżeństwo – bezdzietne, a zatem pozbawione przyszłości – dało mi tego przedsmak. Linda zaś przeobraziła ów przedsmak w koszmar. Podczas pierwszych lat małżeństwa rzeczywiście nawiedzał mnie koszmar senny, choć wtedy nie wiązałem go z nią: stałem w mocnym świetle reflektorów, dookoła panowała nieprzenikniona ciemność; wyczuwałem wpatrujące się we mnie spośród tej ciemności oczy i wiłem się jak robak, by umknąć, jednocześnie czułem się poniżony jak pies z powodu okropnych łańców, które miałem na sobie. Dopiero później zrozumiałem, że był to trafny obraz mojego związku z Lindą, mimo iż robiłem wszystko, by schować się i schronić, czułem się przeraźliwie przezroczyści, podczas gdy ona pozostawała zagadką; cudowną, silną, niemalże nadludzką, lecz nieustannie wywołującą niepokój, jako że zagadkowość ta dawała jej nienawistną przewagę. Kiedy usta Lindy scalały się w cienką czerwoną kreskę – nie był to bynajmniej uśmiech ani radosny, ani choćby prześmiewczy, jej usta napinały się raczej, tak jak napina się łuk – a oczy bez mrugnięcia pozostawały szeroko otwarte, wówczas przeszywał mnie niezmiennie ten sam dreszcz trwogi, ujmowała mnie tym i równie nieubłagane przyciągała do siebie, choć nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek się na mnie otworzy. Sądzę więc, że na miejscu jest użycie słowa miłość, kiedy wśród beznadziei ludzie trzymają się siebie kurczowo,

jak gdyby wbrew wszystkiemu mógł zdarzyć się cud – wówczas sama udręka urasta do wartości i staje się świadectwem tego, że przynajmniej jedno jest wspólne: wyczekiwanie na to, co nie istnieje.

Dookoła widzieliśmy rodziców rozwodzących się, gdy tylko ich potomstwo podrosło na tyle, by pójść do obozu szkoleniowego – rozwodzili się i zawierali kolejne małżeństwa, by płodzić kolejny przychówek. Ossu, nasz najstarszy, miał już osiem lat i od roku przebywał w obozie szkoleniowym. Laila, najmłodsza, miała cztery i zostały jej jeszcze trzy lata w domu. Co później? Czy my też powinniśmy rozwieść się i zawrzeć kolejne małżeństwo, wiedzeni dziecinnym wyobrażeniem, że to samo oczekiwanie stanie się mniej beznadziejne z kimś innym? Cały rozsądek podpowiadał mi, że było to złudne uroje-  
nie. Jedynie cicha niedorzeczna mrzonka podszeptowała: nie, nie – to, że nie udało ci się z Lindą, spowodowane jest tym, że ona chce Rissena! Należy do niego, nie do ciebie! Uświadom sobie, że to o Rissenie rozmyśla, w ten sposób wszystko stanie się proste, a dla ciebie jest jeszcze nadzieja na nową rozsądną miłość!

Tak dziwacznie posplatane były kwestie wywołane przez proste pytanie Lindy.

– Prawdopodobnie Rissen – odpowiedziałem i nasłuchiwałem pilnie w ciszy, która nastąpiła.

– Czy nieuprzejmością byłoby spytać, co to za eksperyment? – odezwała się opiekunka.

Miała oczywiście bezsporne prawo zapytać, w pewnym sensie przecież znajdowała się tu po to, by śledzić, co dzieło się w rodzinie. I nie dostrzegałem niczego, co można by przekreślić i wykorzystać przeciwko mnie, ani jak miałyby to zaszkodzić Państwu, gdyby wieść o moim odkryciu rozniosła się zawczasu.

– To coś, co, mam nadzieję, przyniesie Państwu korzyść. Preparat, który sprawia, że każdy człowiek wyjawia swoje ta-

jemnice, wszystko to, o czym ze strachu czy wstydu decydował się milczeć. Jesteście z miasta, współżołnierzu?

Zdarzało się od czasu do czasu trafiać na ludzi, których w okresie niedoboru ludności ściągnano z innych stron, stąd brakowało im powszechnego dla mieszkańca Chemiomiasta wykształcenia, poza tą wiedzą, której udało im się uszczknąć w dorosłym wieku.

– Nie – odpowiedziała i zaczerwieniła się. – Nie jestem stąd.

Dokładniejsze wyjaśnienia na temat pochodzenia były surowo zabronione, ponieważ mogły zostać wykorzystane przez obcy wywiad. Stąd, oczywiście, jej rumieniec.

– Nie będę w takim razie wdawał się w szczegóły składu chemicznego czy sposobu wytwarzania. Poza tym należałoby chyba jednak tego unikać, jako że kwestie te pod żadnym pozorem nie powinny dostać się w prywatne ręce. Ale z pewnością słyszeliście o tym, jak kiedyś alkohol używany był w celach upojenia i jakie były tego skutki?

– Tak. Wiem, że unieszczęśliwiał rodziny, niszczył zdrowie, a w najgorszych wypadkach prowadził do konwulsji i urojeń o białych myszach, kurach i tym podobnych.

Uśmiechnąłem się na te słowa, które rozpoznawałem jako pochodzące z najbardziej elementarnych podręczników. Najwidoczniej nie zdążyła jeszcze nabyć ogólnego wykształcenia Chemiomiasta.

– Całkowita racja. Tak bywało w najgorszych wypadkach. Lecz zanim do tego doszło, często zdarzało się, że upojeni mówili zbyt wiele, zdradzali tajemnice i działali nierozważnie, ponieważ ich zdolność do odczuwania strachu czy wstydu była nadszarpnięta. Przypuszczam, że mój preparat ma takie samo działanie, choć nie przebadałem go jeszcze do końca. Różnica jest jednak taka, że nie połyka się go, a wstrzykuje bezpośrednio w krwiobieg, ponadto ma zupełnie inny skład. Nie ma również nieprzyjemnych powikłań, o których wspomnieli-

ście, przynajmniej przy słabszych dawkach. Lekki ból głowy to wszystko, co odnotuje obiekt badawczy, i nie zdarzy się, tak jak to bywało z upojonymi alkoholem, że ktoś zapomni, co powiedział. Rozumiecie zapewne, że jest to ważne odkrycie. Od tej pory żaden przestępca nie zaprzeczy prawdzie. Nawet nasze najbardziej skryte myśli przestają być nasze, w co tak długo, skądinąd niesłusznie, zwykliśmy wierzyć.